Rozmaitości

Dnia 19. maja **Nr 20.** 1838 roku

TAJEMNICA.

Z włoskiego pana Romani.

(Dokończenie.)

Dama zachwiała się usłyszawszy takie wyznanie, zaledwo zdołała ukryć swoje wzruszenie; oparła się o marmur, schyliła się z tkliwością do klęczącego i rzekła słabym głosem, przytuliwszy swoję rękę do jego skroni: »Ach, mój Eugeniuszu! dałby Bóg, abyś ty mnie nigdy, nigdy nie zdradził!«

Eugeniusz podniósł oczy do góry, welon, który dotychczas złotą iglicą był upięty, przez poruszenie spłynął na jéj ramiona i odsłonił mu cały widok uroczéj twarzy, pobladłéj głębokiém uczuciem, tęsknotą i bojaźnią; łza jaśniała w jéj oku, spromieniona blaskiem wieczornéj zorzy, jako perła rosy w fijołku.

Z zapałem rzekł młodzieniec te słowa: »Przysięgam dotrzymać święcie, co osądzisz za rzecz potrzebną! Byleś mię tylko kochała, byleś mi była wierną, nie będę się troszczył ani o tajemnicę ani o twoje nazwisko. — Będę w siebie wmawiał, że dla uszczęśliwienia śmiertelnika, anioł zstąpił na ziemię, a serce moje wynajdzie dla ciebie nazwisko, którém żadne inne nie zabrzmią usta. Oto weź moje słowo — przysięgam, że będę czcił twą tajemnicę!«

I Eugeniusz dotrzymał swéj przysięgi. Był tak szczęśliwym, że wszelki nadmiar tego szczęścia, byłby zniszczył ten błogi stan duszy jego. Nie pytał się, nie badał, nie dociekał, — pokładał zupełną ufność w swojéj kochance, — serce jego było zaspokojone, czysta dusza młodzieńca nie wymagała więcéj.

Dopokąd sprzyjały piękne wieczory jesieni, dotąd trwały schadzki kochanków na tém samém miejscu, o téj saméj godzinie; rozmowa ich była zawsze tkliwa, czuła, pieściwa, i tą słodką posępnością owiana, która często stanowi najwłaściwszy wdzięk rozmowy kochanków. Eugeniusz rozpowiadał jéj przygody swego życia, swoje usiłowania, uczucia; ona czytała w poezyjnym jego umyśle, unosiła się tém sercem pełném ognia, tkliwości i boskiego natchnienia; obok niego odbywała podróże po całych Włoszech, przechadzała się po klasycznéj ziemi starożytnego Rzymu, żeglowała po Tyreńskiém Morzu; śród wonnych gajów pomarańczy i cedru, przy jego boku przysłuchiwała się śpiewom gondolierów w zatokach Adryatyckiego Morza, zachwycała się cudami, które widział w swém życiu, szczytnemi myślami, któremi się napoił i które teraz z roskoszą czerpiąc z przypomnienia, z czarodziejską wymową stawił na widoku ciekawéj swéj kochance. Potém poili się błogiém szczęściem milczącéj miłości, a młodzieniec patrzał w łzawe oczy swojéj kochanki, w których przy drżącym blasku księżyca przebijał się wyraz anielski, — przyciskał ją do swego łona, ponawiając przysięgę swéj niezłomnéj wierności. Wtedyto objęła go za szyję i rzekła z płaczem: »O mój Eugeniuszu, dla czegoż nam nie wolno opuścić to więzienie, i jak swobodne powietrze przelatywać z kraju do kraju, jak dwa gołąbki z gniazda do gniazda; dla czegoż nam nie wolno sterować po rozległych morzach i z sobą w parze, podobnie dwóm łabędziom płynącym w świat daleki, widzieć za sobą znikające wybrzeża! — Prawda, że kraj włoski, ten przebytek raju, którego nie znajdziem na całéj kuli ziemskiéj, jest naszą ro-

dzinną ziemią; lecz bez miłości, bez posiadania kochanego przedmiotu — czémże jest dla nas ta ojczyzna? — »Wszelako,« dodała z posępnym uśmiechem, »dla nas, dla miłości naszéj wszędzie jest raj na ziemi, ten nędzny kącik dostatecznym jest do ukrycia naszego szczęścia. — Dla tego nie tęsknijmy do obcych krajów; gdzie indziéj żylibyśmy może w pustyni, na wygnaniu, w przebytku jęków i płaczu —, tu jesteśmy nierozdzieleni, na wieki jedno przy drugiém — więcéj nie wymagam od przeznaczenia!«

I z tkliwością przytuliła go do swego łona, jakby obawiając się, ażeby nie uleciał, albo ażeby go nie wydarł nieprzyjaciel jaki, to znowu trwożliwie badała jego oczy czy się nie zmieniły, ażali nie ozięble na nią patrzyły, to pieściła się jego długiemi w kędzior płynącemi włosy, przyciskając głowę jego do swojéj piersi, jak gdyby zasłonić ją chciała przed śmiertelnym ciosem, który tylko dla niéj widomy, unosił się nad jéj kochankiem.

Eugeniusz widział w téj pięknéj postaci urzeczywistnione swe ideały i sądził, że się w niéj wszystkie sny ziemskiéj szczęśliwości jego spełniły. Ona była jedyną myślą, która go przez cały dzień wyłącznie zajmowała, w niéj żył on bez ustanku, w niéj zawarte były jego życzenia, nadzieje, roskosze dla umysłu i serca — wieczór spędzony przy jéj boku, był dla niego niebem na ziemi. Prawda, iż w duszy jego powstawały czasem powątpiewania, lecz to były tylko mgły ciemne, które słońce oczu jéj natychmiast rozpraszało; prawda, iż korciło go czasem dowiedzieć się koniecznie jaki jest jéj stan, stosunki i nazwisko; ale błagające wejrzenie jéj poskramiało jego ciekawość, przenikając go taką czcią i uszanowaniem, jak gdyby z świętych tajemnic chciał zuchwałą ręką zedrzeć zasłonę. I uprzejmy jeniusz poezyi wstąpił znowu do jego duszy, osłaniając kochankę w formy, przymioty i uczucia wyższego jestestwa, którego acz nie widzimy, czujemy jednak, że jest przy naszym boku, i którego acz nie znamy, wierzymy jednak, że istnieje. W pieśniach natchnienia opiéwał kolébkę, w któréj ona ujrzała dzienne światło, ojczyznę, która dla niéj była rodzinnem miejscem, wybrzeża, gdzie w młodocianym wieku wiosenne deptała kwiaty; o tém wszystkiém śpiéwał jak o wyższych i nieznanych światach, z których wszelkie spływa błogosławieństwo, zkąd pochodzą wszelkie przeczucia szczęśliwości, i wszelkie natchnienie zapału; śpiéwał światy, które tylko zachwycony umysł poety widzi i które penzel jego ludziom w obrazach przedstawia.

Tym czasem nadeszły słotne dni późnéj jesieni, a nocne schadzki w ogrodzie Pratolino stały się rzadsze i krótsze.

»Niezbędna potrzeba,« rzekła nieznajoma jednego wieczora do Genueńczyka, »przymusza mnie wyjechać do Florencyi; stanowczo wymagają po mnie moje stosunki rozłączyć się z tobą na kilka tygodni; dla tego przymuszona jestem żądać od ciebie jeszcze drugiéj ofiary. — Nie oddalaj się na żaden przypadek z téj samotności i czekaj — jeżeli nie z zupełną spokojnością umysłu, przynajmniéj bez okazywania najmniejszego smutku — mego powrotu, który tęsknota moja za tobą ile możności jak najrychléj przyspieszy! — Przyrzekniesz mi to Eugeniuszu? przysięgniesz mi, że to uczynisz?«

»Jeżeli mnie upewniasz, że powrót twój niezawodnie wkrótce nastąpi — przysięgnę chętnie! ponieważ wiem, że cię to uspokoi.«

Tajemna trwoga przejęła dreszczem młodzieńca, gdy wymówił te słowa; byłoto jakieś niespokojne przeczucie, którego nie mógł pokonać w swojéj duszy.

Nieznajoma zamilkła na chwilę, jak gdyby cała jéj dusza jedną ważną zajęła się myślą, jak gdyby się radziła najskrytszych uczuć swego serca; poczém zaklinając go, wyciągnęła ku niemu rękę i z płaczem rzekła: »Niech i tak będzie, słuchaj mnie więc!«

Gdy to rzekła, dał się słyszeć na ulicy zgiełk niespodziany, który w pobliskości schronienia naszych kochanków, jak turkot powozów, jak tentent koni, jak chrzęst zbroi koło muru przeciągnął. — Rażące światło rozlało się po całym ogrodzie Pratolino, a w noc błyskały koleją pochodnie, podczas gdy tysiące głosów wołało: »Niech żyje książę! Nasz książę miłościwy!«

Nieznajoma strętwiała z przestrachu, a po chwili przyszedłszy do siebie, pobladła na całéj twarzy i zaczęła z trwogą i podejrzliwie rzucać wzrokiem na wszystkie strony.

»Uchodź, uchodź Eugeniuszu,« rzekła drżącym i przytłumionym głosem, »uchodź z tych miejsc jak najspieszniéj! — pamiętaj o swojém przyrzeczeniu, nie zapominaj coś przysiągł, wkrótce o mnie usłyszysz!«

I nie czekając odpowiedzi, rzuciła się w przyległą aleję i zniknęła jak błędne światełko nocne, które zwodniczym blaskiem na chwilę mignąwszy gaśnie i jeszcze większą ciemność pozostawia. Eugeniusz stanął jak piorunem rażony — nie był w stanie postąpić z miejsca; wzruszony w głębi serca tajemnicą swojéj miłości, długo patrzył w miejsce, w którém zniknęła. Potém oparłszy o posąg swoje skronie tak zimne jak i ten głaz marmurowy, życzył sobie śmierci, gdyż w sercu jego powstawało jakieś przeczucie, iż szczęście jego już na zawsze zniknęło.

Upłynęło dni ośm, upłynęło czternaście, upłynął cały miesiąc listopad, a Eugeniusz nie słyszał ani jednego słowa o swojéj pięknéj, nieznajoméj. Niespokojność owładła jego umysł, zwątpienie zaczęło powstawać w jego sercu. Z początku tłumił je w sobie nadzieją zobaczenia; głos kochanki tkwił jeszcze w jego słuchu i sercu; lecz gdy się ten głos coraz słabiéj i słabiéj zaczął odzywać, gdy rozum nad uczuciem zajął panowanie, wtedy powstała w nim myśl, iż może jest oszukanym, a niewysłowiona niespokojność ogarnęła całą jego istotę — język ludzki nie zdoła wyrazić boleści, która go opanowała. Przywoływał sobie w pamięć każde słowo, które z nią mówił; każde zmrużenie oka, każdy urwany dźwięk głosu, każde nieśmiałe poruszenie, zdawało się mu być dowodem jéj chytrości, i piętnem zdrady; lękliwość, którą okazała w chwili rozstania, zdawała się mu być obłudą; bladość twarzy, łzy nawet które roniła na jego łonie, zdawały się mu być udaniem; gniewał się sam na siebie, iż tak był nierozsądny i zaślepiony, że mógł uwierzyć takiemu kłamstwu, i puścić się drogą tak niebezpieczną i przygód pełną, nie znając wcale osoby, która miała być przewodniczącą gwiazdą życia jego. Wszelako niechęć ta była tylko złudzeniem serca. Kochał on piękną nieznajomę z tym samym zapałem co pierwéj, i byłby zniósł wszelkie męczarnie piekła, byle jeszcze raz tylko usłyszeć mógł słodki głos téj pieściwéj syreny, byle tylko jeszcze przez jeden wieczór mógł się upoić słodką roskoszą jéj pocałunku.

W kącie leżał jego pęzel i pióro zaniedbane; natura przyodziawszy się żałobną szatą jego rozpaczy, nie nasuwała mu już żadnego przedmiotu, któregoby wdziękiem oko jego zająć się mogło; święty płomień poezyi zagasł środ łez jego. Wraz z kochanką uleciały od niego spokojność i moc duszy, zapał miłosny i natchnienie; czarodziejskie więzy skrępowały jego talent i tworczą działalność; okropna klątwa, nieprzyjażny świat duchów, urokliwa bezwładność opanowały malarza i poetę, objęły go całego w swe ramiona jak pasorzytne ziele, które wijąc się około drzewa, niewidomie je żywotnich soków pozbawia.

Nakoniec — byłto najnieszczęśliwszy dzień w jego życiu — odebrał list bez oznaczenia dnia i miejsca; Eugeniusz rozpieczętowawszy go, czytał skwapliwie a cała dusza jego przeniosła się w spojrzenia, którémi treść połykał:

»Tylko słów kilka wolno mi napisać do »ciebie, kochany mój Eugeniuszu! Sąto smu»tne i uroczyste słowa, jak pożegnania umie»rającego. Już się nigdy więcéj nie zoba»czymy; niezbłagana konieczność rozdziela »nas na zawsze. Nie złorzecz mi, jeżelim »cię unieszczęśliwiła; tęskne życie, pełne »udręczeń i pozbawione wszelkiéj nadziei, »zmyje moję przewinę; — nie złorzecz mi »kochanku! Nieszczęsna gwiazda, która wzej»szła nad moją głową i ciebie w swoję zgu»bną kolej porwała; powinnam była prze»widzieć, że się tak stanie i przewidziałam; »lecz miłość moja ku tobie była mocniejszą, »niż mój rozum, a łudząca nadzieja: iż prze»cie w czasie pokonać będę mogła mój los »nieszczęsny, przezwyciężyła moje serce — »albowiem, wierzaj mi Eugeniuszu, miłość »moja nie była miłością ziemską, i nawet te»raz, pomimo naszego rozdzielenia na zawsze, »i pomimo téj nieprzebytéj zapory, która »między nami powstaje — jeszcze z tym sa»mym kocham ciebie zapałem i wiecznie ko»chać będę. Jeźli więc istotnie uczyni»łam cię nieszczęśliwym, kochany Eugeniu»szu, niechże przynajmniéj zarzut twojéj »śmierci nie udręcza mego sumienia! I — ro-

»zważ to dobrze, kochany Eugeniuszu, śmierć »zagraża twéj głowie tysiącami sztyletów, »które ugodzą w ciebie niezawodnie, jeźli »pozostaniesz w Toskanie, jeźli jak najrychléj »z tych miejsc się nie oddalisz! Jedno sło-»wo, jedno skinienie, którémbyś wydał two-»je ze mną stosunki, byłoby dla ciebie wyro-»kiem śmierci, a żadna odległość nie była-»by w stanie zasłonić cię od potężnego ra-»mienia, które nas rozłączyło na zawsze.— »— Bywaj mi więc zdrów, mój drogi, nie-»szczęśliwy przyjacielu — niech cię niebo za-»chowa w swéj opiece i ukoi twe żale. Oby »na téj ziemi miało jeszcze kwiatek, mogą-»cy upięknić twoje życie! Oby rószczka lau-»ru, co osłaniała włos młodzieńca, bujnym »w około skroni męża zakwitnęła wieńcem! »Oby dziewica, godna twojego przywiąza-»nia, mniéj nieszczęśliwa niż ja, mogła ci »wynagrodzić nieszczęsną, godną politowa-»nia kochankę, któréj ci nigdy oglądać już »nie wolno.«

* * *

Na wielkim placu przed książęcym pałacem powstała wielka ciżba; ze wszystkich ulic podobnie strumieniowi, który spadając z góry rozrywa brzegi, wysypały się nieprzeliczone tłumy ludu; tysiące głosów wołających, zadrzały w powietrzu, tysiące słów pomięszanych i niezrozumiałych szumiały w oddaleniu, jak huczące bałwany morza, gdy je wichry rozruszą. Uroczyste uderzenie we dzwony dało się słyszéć z wież we wszystkich kościołach; w odpowiednich przestankach grzmiały okropnym hukiem działa; wojenna muzyka rozstawionéj kapeli połączona była z rykiem trąb i łoskotnym odgłosem bębnów przechodzącego wojska; hurkot powozów, trzask biczów, gwar tłumu, nacisk gawiedzi, zgiełk, trącanie i zbiegowisko, jakiego nikt nie zapamiętał, panowały w tém sławném mieście, téj źrenicy Włoch, tém siedlisku wdzięków i spaniałości.

Franciszek II. z domu Medyceusz, książę Toskański, obchodził owéj chwili swe zaślubienie z Bianką Kapellą, córką rzeczypospolitéj Weneckiéj.

Do katedralnego kościoła wyruszył na koniach orszak dworu, liczny i świetny zastęp; za nim jechali w powozach posłowie Wenecyi, otoczeni najznakomitszemi osobami swego narodu, które w celu ujrzenia na tronie téj nowéj Katarzyny Kornaro, opuścili adryjatyckie wybrzeża. Po tych cudzoziemcach pojawił się brat księcia odpowiadający przyjemnym uśmiechem na oklaski zgromadzonego ludu. — Na samym końcu pomykał się powóz książęcy, ozdobiony pozłacaną robotą rzeźbiarską i taflami z kryształu, który sześć parskających, andaluzyjskich rumaków, kroczących majestatycznie, tocząc na cugle gęstą pianę, i wstrząsając z niecierpliwości dumne grzywy, krok za krokiem ciągnęły. — W złoto ubrani słudzy i dworzanie zajmowali koniec spaniałego orszaku.

»Patrzcie, patrzcie, to ona, piękna Bianka, nasza księżna!« dały się zewsząd słyszéć ciche głosy widzów, gdy powóz stanął tak blisko, iż dostojną parę rozeznać było można. Nacisk stawał się coraz większym, ile możności wyciągano do góry głowy, a tysiące głosów wołały: »Niech żyje Bianka! Niech żyje oblubienica naszego księcia! — Niech żyje nasza księżna!«

Tym czasem grono swawolnych, miejskich obywateli stanąwszy na boku o podal od pierwszego orszaku, zabawiało się osobliwszą rozmową, szyderskim dowcipem i przycinkami, nie postrzegając, że w pobliskości był jeden nieznajomy, który przekonawszy się, iż mu niepodobna przecisnąć się przez tłumy, stanął tuż przy nich i słyszał wszystkie słowa, które się z ich nieostrożnych ust wymykały.

»W saméj rzeczy,« zaczął mówić z nich jeden, »w saméj rzeczy, ona jest cudnie piękną; ta połyskująca się ślubna szata, ten kosztowny welon na głowie, jest jéj bardzo do twarzy!«

»Czy postrzegłeś,« przerwał drugi, »jak jest bladą i zamyśloną? — zdaje się, iż serce jéj obce jest téj powszechnéj radości i temu festynowi, którego jest królową!«

»Ba,« rzekł żartem trzeci, »ona jest zmięszana, odurzona blaskiem swojego szczęścia, które zaiste nie przyświecało jéj kolébce. Do czarta, bo teżto rzecz niesłychana — jedna Wenecyjanka — prawda, że z starożytnéj szlachty, ale bynajmniéj jemu nierówna, przyzwyczajona do skromnego życia w ojczystym domu, a teraz nagle mał-

żonką Medyceusza! Potrzeba olbrzymiéj siły, przyjacielu, by zachować przytomność umysłu w podobnéj zmianie szczęścia!«

»Tak, tak,« podniósł głos, czwarty, »jeźli jest bladą i zamyśloną, zapewne ma do tego bardzo ważne powody. Czy sądzicie, iż to tak łatwo otrząść się z przewinień przeszłości?—że wcale nie utkwi w sercu przykre wspomnienie, które często w duszy niezatarte zostawia ślady? — naprzykład zgryzota sumienia. — Czy sądzicie, że ją stłumić zdoła muzyka uroczysta?«

»Gdyby w saméj rzeczy,« odezwał się inny po cichu, »dręczyła ją jaka zgryzota sumienia, toż miała dosyć czasu do odpokutowania jéj w ogrodzie Pratolino.«

»Alboli też,» roześmiał się mowca poprzedni, »do obarczenia się nową zgryzotą!«

Nieznajomy nie słuchał już daléj, tylko z całą mocą rzucił się w natłok ludu.

Tym czasem orszak stanął u kościoła katedralnego. Bianka Kapello, otoczona damami i rycerzami, którzy przy boku jéj składali straż zaszczytną, wysiadła z powozu, piękna, urocza, jak anielska postać z nadziemskich krain. Po głośnych okrzykach ludu, nastąpiła głęboka cisza, wszystko zajęte było podziwieniem nadobnéj istoty i uroczystém oczekiwaniem następnéj chwili — zdawało się, jak gdyby widok oblubienicy księcia w zaklęciu trzymał wszystkich swym urokiem. — Gdy oto, naraz pośród widzów wszczął się rozruch niespodziany: »To ona! to ona!« skrzyknął jakiś mężczyzna głosem niewymownéj żałości — i młodzieniec nadaremnie wstrzymywany przez żołnierzy, przebiwszy się przez najliczniejsze tłumy ludu poskoczył ku Biance, wyciągnął ku niéj ramiona i padł na ziemię bez przytomności. Bianka usłyszawszy żałośny jęk tego głosu, zwróciła swoje oczy w tę stronę — ognisty rumieniec wyrósł na pobladłém jéj licu — oziębłém i litującem okiem spojrzała na omdlałego młodzieńca — i zebrawszy wszystkie swe siły — weszła śmiałym krokiem na stopnie wielkiego ołtarza.

* * *

Nazajutrz zrana nad brzegiem rzéki Arno, zgraja ciekawych otoczyła martwe zwłoki młodego mężczyzny, którego właśnie wydobyto z toni. Nikt nie znał tego człowieka, nie znaleziono przy nim ani pisma ani żadnego znaku, któryby o nim dał jakową poszlakę; wszyscy przypatrywali się ciekawie i z żałością pięknym włosom i szlachetnym rysom twarzy nieszczęśliwego. Jedna tylko stara, zgarbiona mateczka, któréj ubiór okazywał, że jest ubogą służebnicą, wpatrzyła się weń z osobliwszym udziałem, i uroniwszy łzę na jego twarz strętwiałą, rzekła po cichu z płaczem: »Czy i ty padłeś jéj ofiarą Eugeniuszu Raggi?«

Imię to z ust do ust idąc przeniosło nakoniec smutny wypadek ten do wiadomości jego krewnych.

MARSZAŁEK

LEFEBR I DENON ARTYSTA.

Marszałek Lefebre trzymał Gdańsk w oblężeniu, a Napoleon postrzegł, iż podług jego wyrachowania za długo zdobywał tę twierdzę. »Potrzeba mi wiedzieć koniecznie,« rzekł cesarz, »co w tém jest za przyczyna; nie pojmuję raportu marszałka Lefebre. Denon, spiesz wpan natychmiast do niego i przywieź mi plan miejsca.« — Zanim kwadrans upłynął, już Denon, mający lat przeszło sześćdziesiąt, ruszył w drogę i w krótce dostał się do przednich straż oblęgającego wojska; żądał widzieć się z marszałkiem, i opowiedział mu zlecenie cesarza. Lefebre nie znał tego artysty, wziął go za szpiega ze strony Napoleona, i dawszy mu odważnego grenadyjera za przewodnika, posłał go w miejsce, które było najbardziéj niebezpieczne, chcąc temu mniemanemu szpiegowi porządną dać naukę. Denon poszedł za grenadyjerem i w krótkim czasie byli obadwaj za linijami bateryj francuzkich. Miotane bryły wyjąc okropnie w około nich pruły powietrze. Nareszcie Denon znalazłszy jamę, którą w ziemi wydrążyła kula działowa, stanął w niéj, wyjął z kieszeni pugilares i spokojnie rysować zaczął. Jakkolwiek odważnym był grenadyjer, przecięż zapytał nieznajomego, ażali jeszcze długo w tém gorącém miejscu zabawić myśli. Denon zrozumiał o co chodziło i odesłał go w okopy. Tym czasem marszałek zaczął żałować, iż naraził na śmierć tak nieustraszonego męża, zwłaszcza gdy mu grenadyjer

o wszystkiém rozpowiedział. Pospieszył więc naprzeciw Denonowi wołając z wojennym zapałem: »Dość tego, widzę żeś nie szpiegiem, lecz odważniejszym z najodważniejszych! Wdzięczen jestem cesarzowi, że mnie z tobą zapoznał. Cesarz żąda dokładnego planu oblężenia; już poznałeś stanowisko najniebezpieczniejsze, pójdźże ze mną, drugie sam ci pokażę.« I tak się stało, zawiódł go w miejsce, w które oblężeni największy ogień miotali, a Denon nie gniewał się bynajmniéj na marszałka, za tak zaszczytne przyjęcie.

OBRZĄDKI RELIGIJNE

I ZWYCZAJE CZERKASÓW.

Religijne obrządki tych gorali są tylko im właściwe i dla tego na szczególniejszą zasługują uwagę. — Czerkasy oddają cześć najwyższemu jestestwu, Bogarodzicy i niektórym niebieskim potęgom, które apostołami mianują; wierzą w nieśmiertelność duszy i przejście jéj do przebytku radości lub udręczenia. Las, jest dla nich świątynią, krzyż o drzewo oparty, ołtarzem. Owinięty grubym płaszczem z odkrytą głową stoi kapłan przed krzyżem i rozpoczyna nabożeństwo ofiarą pojednania. Zwykle zabijają owcę lub kozła, a z nadzwyczajnych powodów także wołu. Kapłan bierze do ręki jarzącą świécę i nadpaliwszy nią włosy zwierzęcia w miejscu, gdzie ma być ugodzone, zléwa je kroplami *buzy*, czyli jagłami rozpuszczonemi wodą. Po skończonéj krótkiej modlitwie zabija potém ofiarę. Głowa jéj należy bóstwu a skóra kapłanowi. Reszta części używa się do sporzadzenia uczty podczas odprawiającego się nabożeństwa. Kilku młodych ludzi, którzy zwykle są jego niewolnicy, stoją za kapłanem i pomagają mu w wykonaniu tego obrzędu. Trzymają oni krumki chleba i kielichy napełnione *buzą*, czyli napojem z jagieł. Po zabiciu ofiary bierze kapłan do ręki chléb i kielich, podnosi je ku niebu, wzywa Przedwiecznego i pobłogosławiwszy, podaje najstarszemu z ludu. To samo powtarza kilkakrotnie wzywając przytém Matki Boskiéj i apostołów. Na końcu obrzedu wyznacza według upodobania dzień, w którym następna odbyć się ma ofiara; wszelako ofiara ta nie może się odbywać, jak tylko raz na tydzień, a mianowicie w jednym z pierwszych dni cztérych. Poczém ogłasza zgubione przedmioty i wzywa znalezcę do ich oddania, ale zwykle nikt się znalezcą nie mianuje, nareszcie rozpoczyna się uczta. — Prócz tych ofiar obchodzą jeszcze inne uroczystości mianowicie: święto patronki pszczół, Mercenii, którą niewiadomo z jakiego powodu Bogarodzicą mianują. Gdy pewnego razu piorun wszystkie zniszczył pszczoły, miała ona według ich podania ukryć jednę w rękawie swéj koszuli.—Czczą także święto patrona Czerkasów, Sozerise, którego sobie przedstawiają jako sławnego żeglarza, jako władzcę wiatrów i wełn morskich i święto piorunu, dla którego mają największe uszanowanie; kogo piorun zabije, ten podług nich ma wielką łaskę u nieba. — Nareszcie święto nowego roku, które prawie w ten sam czas co i u nas obchodzą, i obżynki. Lecz największą uroczystością są u nich święta wielkanocne. Już z początkiem piérwszego marca nie jedzą jaj zupełnie, przez cały ten czas nie przyjmą nikogo, nic nie pożyczą i nie najmą żadnéj rzeczy, co większa, nawet ognia nie udzielą. W piérwszym dniu świąt wielkanocnych zostają w domu, dnia drugiego obchodzą rozmaite festyny, na których zabijają różne zwierzęta i jedzą wszystkie jaja oszczędzone w miesiącu marcu. — Godłem patrona Sozerise jest grusza i dla tego każda rodzina chowa w swoim domu zasuszone to drzewo. W dzień uroczystości rzucają to drzewo w wodę, potém znowu je na brzég wyjąwszy, zawieszają na jego szczycie sér, a na gałązkach małe świéczki, i tak wnoszą je do domu, gdzie mu każdy życzy szczęśliwego przybycia. Czerkasy jadają mięso tylko w dni wielkanocne, albo gdy ich cudzoziemiec odwidzi. Jedzenie zastawiają podług tureckiego zwyczaju na małych, okrągłych stołach. Cudzoziemiec w takim przypadku jé sam jeden, za nim stoi rodzina domu. On wypełnia powinność gościnności podając swemu gospodarzowi potrawy. Kobiéty jedzą osobno. Używają drewnianych łyżek, a palce służą im za widelce. Przed i po jedzeniu myją sobie troskliwie ręce.

NOWINY LITERACKIE Z WILNA.

»Z prawdziwą przyjemnością i chlubą wyznać należy, iż nasze piśmiennictwo w Wilnie co raz więcej ożywiać się poczyna. Pośród tłumnego nawału tłumaczeń powieści i romansów nowej francuzkiej szkoły *(La jeune France)*, i mało-znaczących broszurek, jakiemi nas warszawskie księgarnie, na których czele stoi spekulacyjny hurtowy drukarski handel F. S. Dmochowskiego, zarzucają; miło jest spotkać się z dziełami pożywniejszej treści, które tak dla nas są potrzebne i które przynoszą chwałę narodowym talentom. Do takich dzieł należą: 1) *Piosnki wieśniacze z nad Niemna*. We dwóch częściach, przez bezimiennego (Czeczota) wydane n J. Zawadzkiego 1838 r. Jest to przekład pieśni gminnych śpiewanych przez lud litewski w biało-ruskiém narzeczu, po mistrzowsku dokonany. Wydawca w przemowie swojéj przyrzeka ten zbiór pomnożyć i wespół z oryginałem czytającej publiczności ukazać. 2) *Dzieje starożytne narodu litewskiego przez Teodora Narbutta, tom. III.* nieliczb. 8, VII, 608. Obejmuje pamiątki i wypadki historyczne od VI wieku do XIII wieku i rzeczy odnoszące się do Łotwy, Prus, zakonów rycerskich, krzyżackich, inflanckich i innych. Dodatki zawiérają:

a) wiadomość o kronice rękopisnéj litewskiéj, którą autor nazywa »kroniką Bychowca;« b) powieść litewską o założeniu Moskwy; c) wywody kronikarskie o rzeczach ściągających się do Litwy; d) dyplomat książęcia Pomeranii Swentopołka na wszelkie wolności w jego krajach rycerzom dobrzyńskim wydany; e) trzy dyplomata tyczące się układów z »kuronami nowo nawróconymi«; f) Bullę Papieża Grzegorza IX. ustanawiającą biskupa inflanckiego; g) o handlu dawnym Litwinów z kroniki J. F. R. h) O dawnych strojach. i) Niektóre postrzeżenia o Herulach. k) O wiciach i l) Dwie tablice genealogiczne książąt litewskich. Dołączone do tego tomu są dwie ryciny wyobrażające: Znaki rycerzy dobrzyńskich i drohickich; oryginalne starożytne pismo litewskie. Tom czwarty tego dzieła już się drukuje. Liczba tomów całego dzieła nie jest określoną, autor już 7my ukończył, lecz z przypisku umieszczonego w tom. III. pokazuje się, iż będzie więcéj, gdyż o panowaniu Zygmunta Igo, króla pols. przyrzéka mówić w tomie IX. 3) *Poezye J. J. Kraszewskiego tom. Iszy.* Zawiera fantazyje, wiersze historycznéj treści i fraszki czyli jak je autor nazywa »dziecińtwa.« Wszystkie noszą na sobie cechę niepospolitego twórczego talentu i rokują nam jednego z najznakomitszych na polskim Parnasie poetę. Wkrótce opuszczą prasę drukarską: *Bojan*, wydawcą tego dziełka jest Adam Pieńkiewicz; kilka form odbitych czytaliśmy i z nich wnosimy, iż *Bojan* będzie najlepszym ze wszystkich pism tego rodzaju wydanych w Wilnie. — *Pism rozmaitych* wydawanych przez P. T. D. K. tom pierwszy już się drukować kończy. Samo imię ks. Trynkowskiego jest już przepowiednią zalet i użyteczności tego dzieła. — Czytaliśmy w rękopisie dzieło filozoficzne, zalécające się gruntownością i wyższém rzeczy pojęciem *„Obraz myśli“*; w tych dniach opuści prasę drukarską. — L. A. Jucewicz ma przygotowany do druku piérwszy tom *Pieśni ludu litewskiego*, które wydać zamyśla obok z oryginałem«. (T. P.)

— Ze Lwowa. —

Po dziewięcią - miesięcznéj niebytności wrócił w tych dniach do Lwowa na stałe już zamieszkanie, zaszczytnie znany artysta sztuki malarskiéj *Aloizy Rajchan.* W podróży swéj do Paryża, zwidził między innemi Bawaryję i Niderlandy, dla obeznania się zupełnego ze szkołą flamandzką. Dwa portrety pędzla tego znakomitego malarza (o których już dawniéj wspomnieliśmy) przyjęte na tegoroczną wystawę obrazów w Paryżu, w muzeum królewskiém, są: jeden baronowéj Lepic z synem, a drugi pani Orillat, słynnéj z rzadkiéj piękności.

Wyszło u nas właśnie z pod prasy dziełko: *„O warzeniu piwa i o uprawie chmielu“* przez Ferdynanda Neuhofa. Lwów 1838 in 8. maj. Autor, znany chlubnie z wydanego w tym roku dziełka *„o wypalaniu wódki“* zważywszy, że największa część dzieł o piwowarstwie nie odznacza się potrzebną dla praktycznego piwowara dokładnością i zwięzłością, zajął się zebraniem wypadków swoich własnych wieloletnich postrzeżeń i doświadczeń. W jasnym, zwięzłym i najzupełniejszym wykładzie przedstawia on nam całą sztukę warzenia piwa wyśmienitego, dowodząc w ciągu całego dzieła: iż nie na kosztownych urządzeniach, nie na długich receptach, na jakie najczęściéj po innych pismach natrafiamy, — ale na pewnym potrzebnym stosunku wody, słodu, chmielu i drożdży, — na stósowném urządzeniu browaru, — na skrupulatném zachowaniu czystości, — na dobrém przysposobieniu słodu, — na przyzwoitém postępowaniu przy warzeniu piwa, — na dobrze odbytém wystudzeniu brzeczki, — na wyborze dobrego chmielu, — na użyciu dobrych drożdży, — nareszcie na dobrém odbyciu się fermentacyi, poléga niezawodnie sztuka robienia piwa wyśmienitego. Wszelkie zjawienia, zachodzące w różnych okresach piwowarstwa, opisuje autor z taką dokładnością i w takich szczegółach, że bez przesady wyrzec możemy, iż nawet i ten, co żadnego niéma o téj sztuce wyobrażenia, może z tą książką w ręku śmiało wziąć się do dzieła. — Opis własnéj autora metody robienia bez wszelkiéj obcéj przymieszki, piwa długo - trwałego, bo do kilku lat bez zepsucia trzymać się dającego, stanowi niepospolitą tego dzieła zaletę, i nadaje mu i z tego jeszcze względu wyższości nad wielą innémi. — Wzorowa rozprawa o uprawie chmielu zakończa tę gruntowną i ze wszech miar godną polecenia pracę. — Przekonani jesteśmy, że za upowszechnieniem tego dziełka, zaczniemy mieć dobre piwo, i że publiczność potrafi ocenić zasługi Nestora piwowarów galicyjskich.

S. K.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 24. 25. 26. i obejmuje przedmioty następujące: 1) Kiedy i w jakim gruncie bronowanie oziminy użyteczne. 2) Jakiémi bronami należy bronować zboże gdy podrośnie. 3) Nowy sposób gnojenia pod kartofle. 4) O wyznaczaniu karmy dla owiec. 5) Jak prowadzić gospodarstwo lasowe. 6) Płoty z drutu. 7) O stanie rolniczym w Chinach. — Nr. 25. 1) Ziemniaki Bohana. 2) Jak prowadzić gospodarstwo lasowe (Dokończenie). 3) Las zapasowy. 4) O obcinaniu i czyszczeniu drzew owocowych. 5) O chowie krów. 6) Przestroga dla przedsiębiorących fabryki cukru. 7) Sposób robienia pierników norymberskich. 8) Stan rolnictwa wyspy Hajty. — Numer. 26. 1) Wielkie pożytki z pary gnojowéj. 2) Ażeby len był dłuższy. 3) Jak ratować rzepak od robactwa zepsuty. 4) Pożytki rzędowego siania a właściwie rzepaku. 5) O chowie krów. (Dokończenie). 6) Pielęgnowanie i rozmnażanie Kamelii. 7) O pożytkach węgla kamiennego i użyciu ziemnéj smoły na polewę gliną i słomą pokrytych dachów czyli kalenicznych. 8) List francuzki z Warszawy w dosłownem tłómaczeniu do Adama Kasperowskiego, wydawcy Tygodnika tego. 9) Odpis listu pana Filipa Gerard, do redaktora Przewodnika rolniczo-przemysłowego w Lesznie. 10) Odpowiedź Adama Kasperowskiego panu Gérard.

Literatura mongolska. Pan Kowalewski zwrócił na siebie uwagę literatów, przez wydanie »Chrestomatyi«, zawiérającéj w sobie znaczny wybór przedmiotów w języku mongolskim. Ułamki te nie są wprawdzie piérwotwory, lecz po większéj części tłumaczenia z dzieł tybetańskich lub z samskrytu; atoli okazują uzdolnienie Mongołów i zamiłowanie ich w literaturze Indyjan i Tybetanów. Kowalewski wydał drukiem rzeczone dzieło roku 1836 — 1837 w Kazanie.

Nagrobek Belliniego. Nagrobek ten wystawiony jest na cmentarzu Père Lachaise, między grobowcami Gretrego i Boieldieugo. Jestto pół-słupie, przed którém posąg alegoryczny stoi. Półsłupie to piękną rzeźbą ozdobione, wyciosane jest przez pana Bluet. Na samym szczycie i z przodu znajduje się wizerunek Belliniego, a po trzech bokach, trzy dzieła oznaczające początek, środek i koniec jego artystowskiego zawodu: »Pirat«, »Norma« i »Purytanie.« Pod spodem stoi napis: »Vicenzo Bellini, urodził się w Katanei w Sycylii r. 1807, umarł w Puteaux pod Paryżem 1835 roku; na powierzchniach pobocznych znajdują się nazwiska innych sześciu przez niego skomponowanych oper:

„Bianca e Fernando,“ „La Straniera,“ „Capuletti ed Montechi,“ „Zaira,“ „la Somnambula,“ „Beatrice di Tenda.“ Alegoryczny posąg dłuta pana Marochetti nie jest ani muzą ani téż jeniuszem, należałoby go raczéj aniołem muzyki nazwać, ma on bowiem na sobie owe niepewne znamię charakteru, pomiędzy jedną płcią a drugą, jaki tylko wyższym duchom przypisujemy. Anioł ten przedstawiony jest siedzący, nito owinięty w swe długie skrzydła — które się wznoszą nad jego głową i których ostatnie pióra rozpościerają się aż pod nogi i rąbek jego szaty. Smutną i pochyloną głowę jego otacza wieniec cyprysowy. Anioł ten przytula obiedwoma rękoma lutnię o swoję pierś, jak ostatnie wspomnienie przyjaciela, za którym łzy ronimy. Posąg ten jest pełen przyjemności, tkliwego czucia i smętu, urzeczywistnia on doskonale ideę, jaką sobie tylko wystawić można o muzie Belliniego, która natchnęła go témi tkliwemi, żałosnemi tonami, w których taką doskonałość okazał.

Pierwszy dzień kwietnia. W Londynie, jak podobno i w całém chrześcijanstwie, na dniu piérwszym kwietnia, który Anglicy charakterystycznie dniem głupich nazywają *(Fool's day)*, czynią sobie zwykle żart w tym sposobie, iż posełają łatwowiernego z listem, na który ma odpowiedź otrzymać. Odpowiedź tę stanowi list do trzeciéj osoby, która daléj go poséła. Przed kilką laty pewien młody chyrurg, który skończywszy szkoły, przybył na praktykę do szpitalu Ś̃go Bartłomieja, zawołany był ze swego pomieszkania do pewnego chorego, bardzo bogatego człowieka, nazwiskiem Dobbs, mieszkającego w *Newgat-street.* Byłto pierwszy dzień kwietnia, a człowiek ten pierwszym jego pacyjentem. Młody Eskulap przyszedłszy do mniemanego chorego, który w kantorze troskliwie swoją pracą był zatrudniony, oświadczył zamiar swojéj wizyty, a pan Dobbs mający wyśmienity rozum kupiecki, postrzegł wkrótce cały ten przebieg. Rzekł więc do niego: »Mój panie, w tém zachodzi jakaś omyłka; ja się wprawdzie nazywam Dobbs; ale Bogu dzięki! jak wpan widzisz, jestem zdrów i czerstwy. Zapewneto posłał po wpana mój brat cukiernik, mieszkający w *Fisch-street-hill;* on podlega często słabościom; ja napiszę wpanu bilet do niego.« Chyrurg skłonił się, podziękował i wziąwszy bilet udał się do cukiernika w *Fisch-street-hill*, trzy ćwierci mili dalej. Przyszedłszy do sklepu, zastał pana Dobbs cukiernika w *Fisch-street-hill* w tak dobrym stanie zdrowia jak jego brata w *Newgate-street.* Cukiernik przeczytał bilet i zaczął uniewinniać pomyłkę swego brata mówiąc: »Ponieważ podpis na bilecie jest do pana J. Dobbs, sądzę więc, iż brat mój ten list do pana Johna nie zaś do Jeffreja napisał, gdyż ja jestem Jeffrej, a brat mój John się nazywa, i jest trzeci członek familii, mieszkający w Limehouse, i on to zapewne wpana do siebie przywołać kazał.« To rzekłszy wręczył znowu bilet młodemu lekarzowi z zleceniem, aby go oddał w Limehouse na samym końcu miasta, któryto napis, jak się domyśléć można, był zmyślony. Zwiedziony i utrudzony chyrurg przeklinając za każdym krokiem całą rodzinę Dobbsów, udał się nakoniec z powrotem do domu. Przechodząc koło *Uper-Shadwell*, postrzegł, iż rozbukany koń lecąc przez *Camomile-well* z największym pędem zrzucił z siebie jeźdzca. Poskoczył czém prędzéj w pomoc i podniósł nieznajomego, który prawie bez duszy na ziemi leżał. Zaniosł go do pobliskiego sklepu, upuścił mu krwie, i niezmiernie się ucieszył, że przyszedł do siebie. Przypadek ten nie poszedł na szkodę młodemu chyrurgowi, albowiem ten, którego swojém pielęgnowaniem przywiódł do zdrowia, był majętnym kupcem z Indyj Wschodnich, który nie mając żadnéj rodziny, tak był wdzięczen za podjęte trudy swemu wybawcy, iż go przyjął za lékarza do swego domu, a przy śmierci swojéj mianował go dziedzicem całego swego majątku. Tym sposobem dziwactwo losu zbogaciło tą razą człowieka, z którym grano *prima Aprilis.*

Do drugiego wypalił, a siebie ugodził. Śpiéwak Chassé, szlachcic z Bretanii, miał u dam wielkie szczęście, a z tego powodu rozmaite przygody. Zdarzyło się nawet, że pewna znakomita Francuzka z jedną Polką miały pojedynek o niego, za co jedna przymuszona była pójść do klasztoru, a drugę z kraju wygnano. Ludwik XV. kazał przez marszałka Richelieu powiedzieć śpiewakowi, aby zaprzestał zwodzić kobiety. »Cóżem ja temu winien«, odrzekł gap' napuszony, »żem najpiękniejszy mężczyzna w całém panstwie!« »Błaźnie«, rzekł mu Richelieu tém wyznaniem rozgniewany, »jak ty śmiesz mówić takie rzeczy? Przecież piérwszym jest król, drugim ja, a tyś dopiéro trzeci z porządku.«

Przezorny lékarz. Przy łóżku jednéj słabéj panny mającej lat trzydzieści, siedział młody przystojny lékarz, słuchając jéj skarg z największą cierpliwością. Gdy pacyjentka wszystko już przed nim wynurzyła, rzekł: »Z opisania choroby wpanny poznaję, iż słabość Jéj jest tylko skutkiem przykrego stanu, który z saméj natury pochodzi. W tym przypadku lekarstwa nic nie pomogą. Chciéj WPanna pójść za mąż, a ta migrena, te humory, te kurcze znikną jak mgła przed słońcem.« — Panna zdała się być zdziwiona tą propozycyją, nareszcie rzekła: »Podobno wpan mówisz słusznie; usłucham więc rady jego, i abym prędzéj do zdrowia przyszła, chciéj się wpan ze mną ożenić!« — Na co przezorny lékarz wstrząsnąwszy głową odrzekł: »Moja pani, my lekarze zapisujemy wprawdzie lekarstwa, ale sami ich nie zażywamy.«

Szczytna odpowiedź na trudne zapytanie. Beugnot był prefektem za czasów cesarstwa; podobnie jak towarzysze jego zajmował się gorliwie statystyką; byłto bowiem sposób podobania się cesarzowi. Jakoż samego cesarza uważano za mistrza w téj umiejętności. Jednego razu cesarz przejeżdżał przez departament Beugnota. »Oh!« rzekł ktoś do Napoleona, »co tego prefekta, to wasza ces. mość nie zmieszasz.« »Zobaczymy«, odrzekł cesarz i uśmiechnąwszy się chytrze zapytał Beugnota: »Mości prefekcie, ile też ptaków przeciągało w tym roku przez departament wpana?« »Jeden tylko orzeł, najjaśniejszy panie!« odrzekł Beugnot.

Pomoc w potrzebie nie zna przepisów. Przed sądem karnéj policyi w Paryżu, oskarżono niedawno pewnego Gobieux z powodu, iż bez upoważnienia wykonywał sztukę lékarską. Jego obrońca udowodnił, iż klient jego jest przedawcą pijawek, posiada niejakie wiadomości medycyny i takowych używa w każdym nagłym przypadku dla dobra ludzkości i bez wszelkiego zamiaru zysku. Na poparcie rzeczy dodał, że i król Ludwik Filip wysiadł z powozu i upuścił krwie pocztylionowi, który był spadł z kozła, a przecież nikt go przed sąd nie pozwał dla tego, iż bez pozwolenia ośmielił się wykonywać sztukę lékarską. Przytomni zaczęli się śmiać z trafnego rzeczy udowodnienia, sędziowie rozśmieli się także, a oskarżonego uwolniono.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*